

— Znam ją tylko z widzenia.
 — Zamurowałaś więc przejście, łączące wasze mieszkania? A telefon ukryty do czegoś służy? Seperacja kompletna, co?
 — To, co mówisz, nie obchodzi mnie wcale.
 — A współnictwo, to nic?
 — W czym?
 — Mój Boże, nie chcę obmawiać tej dobrej kobiety, ale wiadomo, że zajmuje się sprawami, które mogą silnie zainteresować policję.
 — Trzebaby dowodów!
 — Będą, panie Collin-Megret.
 — Czego chcesz wkońcu odemnie? — zawołał czerwony z gniewu lichwiarz — Grozisz mi? Wypowiadasz wojnę?
 — Nie jestem tak głupi, za jakiego mnie masz. Oddaj mi pan to, co wiesz, a pokój zawarty. Możemy nawet zostać przyjaciółmi!
 — Wszystkie moje papiery złożone są w pewnym miejscu — odpowiedział wymijająco Collin-Megret.
 — A no, to powrócę, kiedy te papiery znajdą się tutaj?
 — Nie robię nic darmo, mój przyjacielu!
 — Oh! chciałbyś mi odsprzedać ten papiererek?
 — Dlaczego nie? Należy do mnie.
 — Słuszność. Ile żadasz?
 — Tysiąc franków, to za darmo!
 — Tysiąc franków? Dlaczego nie sto tysięcy?
 — Dlatego, iż wiem, że ich nie posiadasz.
 — A tysiąc?
 — Jesteś inteligentny, znajdziesz je.
 — Dobrze — odpowiedział Delrue — kończymy zatem. Oto są pieniądze.
 Delrue był na tyle nieostrożnym, że zdradził się z posiadania większej sumy, pan Collin-Megret pochwylił w lot sposobność wyciągnięcia od niego jeszcze więcej.
 — Powtarzam ci, że papierów nie mam u siebie — rzekł niedbale. — Wróc za tydzień, pogadamy, a teraz żałuj mocno...
 — Dobrze — szepnął z wściekłością Delrue — Ale pamiętaj, strzeż się! Ja również jestem dobrze uzbrojony.
 — Dziękuję za ostrzeżenie. Oto główne schody. Do widzenia, panie Delrue.
 Andrzej wyszedł z przekonaniem, że pograżył się bardziej jeszcze. Pospieszył się zanadto, a cała kombinacja z policją nie miała cech prawdopodobieństwa.
 Niezadowolony z siebie powrócił do pałacu de Kermor, nie domyślając się, że jest śledzony zdaleka przez jedną z robotnic pani Wiktoryi.
 Zaraz nazajutrz okoliczności się tak złożyły, że Andrzej mógł się zapoznać osobiście z bankierem de Bressien, cichym współnikiem pana Collin-Megret, którego się obawiał na równi z tym ostatnim.
 Bankier przypatrywał mu się badawczo i zale dwie raczył słuchać, gdy Andrzej przedstawił mu plany nowej organizacji, zredukowania procentów, plac.
 — Jesteś młody, mój przyjacielu — rzekł wkońcu dobrodusznie — Paryż, to drogie miasto! Przekonasz się o tem.
 „Jesteś młody“, słowa te przypominały mu dawniejszego pryncypała. Ten sam sposób dobrodusznego mówienia, badawcze spojrzenie, lekceważące traktowanie jego osoby. Andrzej przeczuwał, że baron de Bressien, to drugi Collin-Megret, tylko potężniejszy i niebezpieczniejszy od tamtego.
 Bankier również nie czuł się zadowolonym z nowego sekretarza Kermorów.
 — Skądże ten chłopak wziął się tutaj — mruzczał gniewnie, chodząc po swoim gabinecie — Muszę zbadać jego przeszłość. Może się da kupić, chociaż nie zdaje mi się. Jest przyjacielem syna, a więc moim wrogiem. Trzeba koniecznie wy badać słabą jego stronę. Ojciec Collin-Megret mi w tem dopomóż.
 Nie zwlekając, zatelefonował po lichwiarza.
 W dwadzieścia minut później tenże układowy i nadskakujący wsunął się do gabinetu bankiera.
 — Collin-Megret — rzekł baron — mam robotę dla ciebie, liczę na twój spryt.
 — Ah! panie baronie — odparł Collin-Megret, kłaniając się nisko, jestem jak zawsze na pana usługi.
 — Znasz markiza de Kermor? Jest to jeden z moich najlepszych klientów. Sekretarz jego nowy, zdaje się, jest moim przeciwnikiem, przeszkadza mi. Nazywa się Delrue.
 — Andrzej Delrue.
 — Oh! znasz go także? Wiesz co o nim?
 — Obowiązkiem moim jest wiedzieć wszystko, panie baronie.
 — Doskonale! A więc ten Delrue?
 — Mamy go w ręce, to fałszerz i złodziej!

— Dowody są, mój kochany?
 — Mam je przy sobie, ale za jaką sumę mam go usunąć?
 — Za dziesięć tysięcy franków.
 Pan Collin-Megret wyciągnął z portfelu kartkę zastawniczą i kwit, podpisany przez Andrzeja.
 — Tracę na tem, grubo tracę — westchnął ciężko. — Ten młody człowiek jest zdolny wkrótce podwójnie opłacić ten grzeszek młodości. Miał przyjść do mnie w tych dniach, co mam mu powiedzieć?
 — Ze oczekuję go.
 — Jestem na usługi pana barona. Oto dokumencik.
 — Dziękuję. Masz kwit i przejdź do kasy, ale przedtem opowiedz mi, jak doszedłeś do znajomości z tym obiecującym młodzieńcem.
 Gdy Collin-Megret skończył opowiadanie, bankier roześmiał się z zadowoleniem.
 — Na honor, czarodziejem jesteś, mój Collin-Megret. Jakież z ciebie nieoceniony człowiek, zręczny, dyskretny, ale kosztowny cokolwiek! No, do widzenia, stary łobuzie!

Król złota.

Kiedy w kilka dni później Andrzej Delrue zjawił się przed okienkiem kantoru starego lichwiarza, tenże zapytał go gburowato:
 — Czegoś pan jeszcze żadasz odemnie?
 Delrue wyciągnął banknot i podsunął mu go pod oczy.
 — Nie do zrobienia, panie Delrue.
 — Ależ ojciec Megret.
 — Niema ojca Megret, jest tylko nabywca kwitów zastawniczych, który deponuje je u swojego bankiera. Mieszka on na bulwarze Haussmana, baron Bressien, oczekuje właśnie pana. Zegnam.
 Delrue wyszedł na ulicę zgnębiony, zmalaty, chwiejąc się na nogach. Widocznie za mało miał sił do walki z życiem, nigdy nie dojdzie do niczego, będzie zawsze nędznym niewolnikiem, wyglądającym łaski swojego pana.
 Bankier przyjął go z pańską wyrozumiałością. Powodowany litością, na widok osłabłego i drżącego sekretarza, raczył wskazać mu krzesło i rzekł do brotliwie:
 — Panie Delrue, stawia mnie pan w nieprzyjemną sytuację. Rzecz jest jednak jasna. Jestem bankierem i pożyczam, albo skupuję wartości. Otóż z takim wartościowym papierkiem przyszedł do mnie pan Collin-Megret, finansista, który nie posiada dostatecznych kapitałów, aby mógł się puszczać na ryzykowne przedsięwzięcia. Ale ten kwit zastawniczy był sfalszowany. Zazwyczaj w podobnych sprawach daję natychmiast znać do prokuratury. Uderzyło mnie jednak nazwisko pana. Pomyślałem sobie: Collin-Megret musiał się dowiedzieć, że ten młody człowiek posiada ładne stanowisko u markiza de Kermor i chce sytuację wykorzystać. Ci nędzni lichwiarze zdolni są do wszystkiego. Zachowałem więc kwit u siebie. Co mam z nim zrobić? Sumienie nakazuje mi...

— Panie baronie, łaski! — wyszeptał Delrue — łaski! Nie gub mnie pan! Byłem wówczas tak młody.
 — Właśnie, właśnie! Przypuścimy, że sprawiedliwość o tem się nie dowie. Ale pan de Kermor jest moim klientem, przyjacielem, bywam w jego domu, sumienie nakazuje mi ostrzedz go... bo kto raz pił, ten pić będzie — powiada przysłowie — Gdyby się coś podobnego zdarzyło, wina w połowie spada na mnie.
 — Oh! panie baronie! To się już nigdy nie stanie!
 — Wierzę. Zdaje mi się, że pan całą duszą oddałeś się sprawom rodziny Kermor. Jeżeli dalej tak uczciwie w tym kierunku pracować będziesz, jestem zdolny do milczenia. Kwit znajduje się tutaj — dodał, wskazując kasę ogniotrwałą — Zachowuję go jedynie dla przypomnienia panu przeszłości i abyś nie popadł w recydywę. No, panie Delrue, zwracam panu mój szacunek, staraj się zasłużyć nań, a kiedyś zatrzemy ten grzech lekkomyślności. Przyjmuję w poniedziałki rano. Nie pisz pan do mnie, nie lubię pisma.
 Delrue znalazł się na bulwarze w dziwnym nastroju. Nie wiedział, co się z nim dzieje, czego ma się obawiać i czego spodziewać. Gdy opamiętał się cokolwiek, zrozumiał, że chcąc uniknąć najgorszych dla siebie skutków, zmuszony jest zdradzić markiza de Kermor na korzyść barona de Bressien. Musiał więc uznać się za zwyciężonego i umiejętnie przeprowadzić podwójną grę.
 Pierwszym odruchem dobrej woli względem barona było odsunięcie wszelkich tych finansistów, których tenże wskazał mu na przyjęciach poniedziałkowych.
 Następnie oddalił służącego markiza pod zarzutem kradzieży, przyjmując na miejsce jego osobistość,

podsunętą mu przez bankiera. To samo stało się ze stangretem i głównym kamerdynerem. Delrue szpiegował resztę służby i wzamian czuł się szpiegowanym przez tamtych. Życie dla niego stało się nie do zniesienia. A tymczasem ruina zbliżała się. Dopomagał do tego dzielne rozrzutny i lekkomyślny markiz, który pojął sobie za dewizę żyć z dnia na dzień, nie patrząc przed siebie.

Wówczas to Henryk, coraz więcej zaniepokojony, w przeddzień ekspedycji swojej do Afryki, zawezwał Andrzeja, powołując się na jego przyjaźń i poświęcenie.

— Andrzej! Uczyniłeś już wiele dla nas, ale zaklinam cię, staraj się teraz gorąco odsunąć barona de Bressien. On nie może być naszym bankierem. Człowiek ten zniszczy nas!

Andrzej potrząsnął smutnie głową.

— Może cię dotknę, Henryku, ale muszę ci wyjawiać prawdę. Niszczycielem nie jest baron, ale twój ojciec.

— A jednak w początkach przyznawałeś...

— Pomyliłem się. Pozbyłem się drobniejszych lichwiarzy.

— A dlaczego nie możesz się pozbyć tego?

— Trzeba go kimś zastąpić, a to nie jest łatwe.

— Zastąpić? Dlaczego? Posiadamy przecież dobrą, dochody. A wkońcu dlaczego nie wziąć notariusza do pomocy?

— To na jedno wyjdzie, bo wówczas trzeba będzie wszystko spieniężyć, zlokalizować, utworzyć kasę, z której nadal czerpać będzie twój ojciec.

— Więc pozostawić wszystko biegowi rzeczy?

— Tego nie mówię. Interesa dawnoby się już ułożyły, gdyby nie markiz, który z pod ręki zabiera to, co wpłynie. A kiedy pan de Kermor żąda jeszcze pieniędzy, a ja ich nie mam do dyspozycji, mówi mi zawsze: „No, to zatelefonuj, panie Delrue, do barona, żeby tu przyszedł“. I dlatego to de Bressien nie wychodzi prawie z pałacu. Cóż ja wtedy mam począć?

— Rozumiem cię, Andrzej!

— A markiz nigdy czekać nie zechce. Musi mieć natychmiast, czego żąda. Markiza już sama przestała reagować, podpisuje weksle, a markiz posiada zresztą pełne jej pełnomocnictwo.

— A więc, jeżeli matka bronić się nie umie, to ja ją obronię, co bądź by się stało.

Po tej rozmowie nastąpiła gwałtowna dyskusja między synem, a ojcem. Doprowadzony do ostateczności, widząc bezskuteczność swoich argumentów, zawołał wybiegając z gabinetu ojca:

— A więc dobrze, mój ojciec! Masz słuszność! Niech i tak będzie! Ale ja tu ani godziny dłużej nie pozostanę. Pójdę zarobić na chleb dla mnie i mojej matki, bo dzięki tobie wkrótce go jej zabraknie.

Wówczas to Henryk zaangażował się do ekspedycji w głąb Afryki i odjechał, pozostawiając na placu działania barona de Bressien i Andrzeja Delrue.

Posag Sydonii.

Sekretarz markiza de Kermor, zwolniony odjadem Henryka ze wszystkich zobowiązań i przymusu, postanowił mieszać się jak najmniej do interesów.

Markiza zaś, ostrzeżona przez syna, nabrała cokolwiek odwagi i ujęła w swoje ręce ster spraw osobistych, pragnąc choć dla jedynaka, którego kochała nad życie, uratować choć okrucy magnackiej niegdyś fortuny.

Ale kiedy pierwszy raz zażądała w tym kierunku oficjalnej rozmowy z bankierem, tenże uśmiechnął się dobrodusznie i wyrzekł błagalnie:

— Pani markizo, proszę, nie mówmy o tem. Gdyby pani wiedziała! I ja również jestem ofiarą wypadków! Niech między nami nie będzie mowy o kwestjach finansowych. Córka moja objaśni panią markizę lepiej. Niech pani z nią pomówi; dałem jej całkowite pełnomocnictwo działania.

W ten sposób panna Sydonia została wprowadzona do pałacu, aby ze wzruszeniem oznajmić markizie, „że zacy jej ojciec rzeka się wszelkich pretensji procentowych, byleby otrzymać kapitał włożony i t. d.“

Sydonia spostrzegła jednak, że nie uczyniła na markizie dobrego wrażenia, postanowiła więc powoli zdobywać jej sympatyę przeciwieństwem tego, czem była w rzeczywistości. Zrobiła się skromną, potulną i umiała zręcznie naprowadzać zawsze rozmowę na młodego hrabiego, co wkońcu podziało silnie, niż wszystkie inne jej artystyczne sztuczki.

Markiza w samotności swojej przyzwyczaiła się prędko do częstych odwiedzin córki bankiera, która w porozumieniu z ojcem zręcznie swój plan coraz bardziej rozwijała.

(Ciąg dalszy nastąpi).